POGADANKI LWOWSKIE.

M. RODOĆ.

POGADANKI LWOWSKIE

ROKU PAŃSKIEGO WYSTAWY KRAJOWEJ

PISANE.

Lwów.
Jakubowski & Zadurowicz.
1895.

Z drukarni i litografii Pillera i Spółki.

I.

I oto owoc trudu naszego i ducha,
Dojrzał; a Bóg łaskawy niechaj nas wysłucha,
I Wystawę, szlachetne dumy naszej dziecię,
Pobłogosławić raczy — a jej wrogów zgniecie.

. . . .

Tak tedy za dni kilka zostanie otwartą
Ona nasza Wystawa; że ją będzie warto
Oglądać i podziwiać, no, to się rozumie,
Lecz nim się rozpatrzymy w tym olbrzymim tłumie
Naszej pracy i myśli, złóżmy cześć głęboką,
Mężom, których energia była nam opoką,
Na której każdy chętnie kładł cegiełkę małą,
Ażeby wspólnie dźwignąć budowę wspaniałą,
Zamykającą nasze pragnienia i cele.

. . . .

Naturalnie, że w onem patrjotycznem dziele,
Przodowały kobiety, których wdzięk i praca,
Każdą chwilę żywota naszego ozłaca.
Z jakim one radziły szlachetnym zapałem,
Ten kto widział, rzec tylko może; — ja widziałem.
Tak, widziałem; pamiętam, była to niedziela...
Pod opieką zacnego mego przyjaciela,
Dzielnego Referenta Dziewiętnastej Sekcyi,
Wkradłem się i stanąłem jako na prelekcyi.
Wielka sala, za stołem, rzędami, dokoła,
Tutaj postać bogini, tam urok anioła,
Wdzięk rusałki, czar nimfy... miłosierny Boże!
Odbiegam od przedmiotu! Czyż nie odbiedz może,
Ten, którego uderzył taki widok boski!
Zawracam; słyszę piękne i rozumne wnioski,
Ofiarne przedłożenia, pożyteczne chęci,
Setne interpelacye... aż się w głowie kręci!...

. . . .

Wtem nagle jeneralny sekretarz powstanie,
I rzecze: „miłościwe i szanowne Panie!
„Pozwólcie wnieść do obrad tok systematyczny,
„Bo jeśli (tu uczynił zwrot alegoryczny),
„Wystrzelamy od razu, w lot wszystkie naboje,

„To co nastąpi potem? Chciejcie słowo moje
„Rozważyć jak należy i przyjąć łaskawie,
„A ja w każdej, z kolei postawionej sprawie,
„Radą i objaśnieniem chętnie Wam usłużę!“
Zacisnąłem się w kącik — przeczuwałem burzę!
Sekretarz zgrzeszył ciężko! — Wnet powstała
dama,
Jaka, tego już nie wiem; zapewne ta sama
O której właśnie mówię; powstała i rzekła:
„Nie myślę opozycyi robić ani piekła;
„Zastrzedz się jednak muszę, w nas wszystkich
imieniu,
„Przeciwko użytemu tutaj wyrażeniu,
„«Wystrzelane naboje». Cóż to ono znaczy?
„Czyli ma nas do złości przywieść, czy rozpaczy?
„Proszę nam wytłumaczyć!“ — Szmer prze-
biegł po sali,
I niewiadomo coby nastąpiło dalej,
Gdyby nie pan referent, który swoje kroki,
Poniósł ku pięknym paniom; — tej ukłon głęboki
Złożył, tamtej komplement, innej uścisk ręki,
I tak jakoś zażegnał konflikt, Bogu dzięki.
Poczem znowu wspaniale toczą się debaty.

. . . .

Długim rzędem, pod ścianą siedziały oświaty
Krzewicielki, dość liczne na tem zgromadzeniu.
Siedziały, pogrążone w poważnem milczeniu,
Mimo, że o szkolnictwie mówić przyszła pora.
Co to jest?... Wtem szkolnego widzę inspektora!
Siedzi. Po co u licha go tu usadzono?
Czyżby po to, ażeby profesorek grono,
Hamować, dać na buzię im kłódeczkę małą?
Monstrualne! Rzecz prosta, że się to udało.
Milczały, ale jaka ztąd dla rzeczy strata,
Tego nikt nie naprawi już ani załata.

. . . .

Pisałbym dalej jeszcze, cóż gdy fejletony
Moje, niestety, mają plac ograniczony!
Ileś tam centymetrów. Więc kończę tym razem,
Ofiarnej działalności kobiecej obrazem,
I słóweczkiem o sobie:

Co niedziela może,
Będę pisał w tem miejscu; lecz niech nikt,
broń Boże,
Nie szuka tu ścisłego traktowania sprawy.
Tak jest, mój czytelniku miły i łaskawy;
Po tak pięknie i chlubnie ukończonem dziele,
Słusznym jest odpoczynek, uśmiech i wesele.

Ja bawić Ciebie myślę; a choć swoją drogą
Gawędy moje prawdę często mówić mogą,
Zawsze górą w nich będzie: humor i zabawa.
Niech żyje kraj nasz drogi! Niech żyje
Wystawa!

1. Czerwca 1894.

II.

I ruszyłem z ulicy Długosza piechotą...
Na Mikołaja wlazłem (po pod murem) w błoto,
Obejrzałem z rozpaczą buty zabłocone,
Posłałem wiązkę życzeń w Magistratu stronę,
I wskoczyłem na Tramway, który był łaskawy,
Za szóstaka wysadzić mnie u bram Wystawy.

. . . .

Istne cuda! Spojrzałem jak zasięgnie oko...
I pierś moja wezbrała... westchnąłem głęboko...
Boże! my tacy nędzni, zgnębieni i mali,
My, co nam rdza przeżarła pierś niegdyś ze stali,
A oto silna wola, ofiara i praca,
Odradza nas i dawne blaski nam powraca,
I depcze grzeszną niemoc i dolę zdradziecką!
Nie dziwcie się, z radości płakałem jak dziecko.

. . . .

I wmięszałem się w tłumy, utonęłem w gwarze...
Gdzie spojrzeć, wszędzie widać rozjaśnione
twarze,
Każde oko uciechą albo dumą pała,
A wszystkie usta szepczą: honor! cześć! i
chwała!
Komu? — każdy poczciwie orał tu swe pole;
Lecz jeden tylko serce i dumę i wolę,
Całego siebie oddał dla tej wielkiej sprawy,
Niech żyje nasz czcigodny Dyrektor Wystawy!
Niech żyje w czyjem łonie gości hart i cnota!
Najpierwszy wśród nas wszystkich dzisiaj
mąż — patrjota!

. . . .

Wyrzuciwszy co w sercu siedziało mi na dnie,
Myślę odtąd sprawować się bardziej przykładnie
I pisać tak, ażeby wszystkim było błogo.
Ot naprzykład spróbuję przenicować kogo.
Prawda, że to lubicie? — A więc doskonale!
Już go mam! wlazł mi w drogę! „Hej panie
Michale!
„Co tam stoisz jak baran i wytrzeszczasz oczy,
„Zobaczysz, że Ci które na trawę wyskoczy!"
Pan Michał się obejrzał, chustką otarł czoło:

„A to ci panie *casus,* zahuczał wesoło.
„A niechże Cię uściskam serdeczny braciszku!
„Wiesz ty co? chodźmy sobie kropnąć po
kieliszku!
„To mi rozjaśni w głowie, bo stoję i stoję,
„I sam nie wiem co począć; na sumienie moje,
„Nie wiem na co mam patrzyć i zacząć od czego...
„To ci panie labirynt! Słuchaj-no kolego,
„Włóczmy się zawsze razem, to będzie weselej."
Zgodziłem się; tu jeszcze dodać się ośmielę,
Że pan Michał — Baltazar dwóch imion Mitręga,
Jest to mój dawny sąsiad; głowa nie zbyt tęga,
Ale człowiek serdeczny, szczery i kochany.
Zwyczajnie polski szlachcic — choć przyłóż
do rany.

. . . .

Owóż wziąłem pod rękę Imć pana Michała,
A hojnie i przystojnie pokrzepiwszy ciała,
Poszliśmy wprost przed siebie...
„A no, gdzie iść mamy?"
Zapytuje pan Michał. — „Toć do panoramy,
Odpowiadam; „słyszałem, jako mówią ludzie,
„Że Racławicka bitwa ma być w onej budzie".
Weszliśmy... i stanęli niemi i zdumieni.

Wśród czystej, bezgranicznej nieledwie prze-
strzeni,
Pod lazurowem niebem, wśród wiosennej ciszy,
Mrowie ludzi i koni... wszystko ogniem dyszy,
Ruch i zamęt... bagnety, spisy, szable, kosy...
Dymy armat, krwi plamy wśród perełek rosy...
Życie i śmierć. — Spojrzałem na pana Michała:
Oczy miał przerażone, twarz mu pobielała...
Bo zobaczył kozaka, jak ten wyjąc dziko,
Sadzi na kosyniera z pochyloną piką...
Uspokoił się wreszcie poczciwy pan Michał,
I tylko stał i patrzał, i mrugał i wzdychał.

. . . .

Ja stałem zadumany. Nikt się nie pochwali,
By widział kiedy u mnie miłość dla Moskali.
Sam pewniebym z ochotą tłukł moskiewskie
hordy;
Lecz ta krew, lecz te trupy, te rzezie i mordy,
Nie są w stanie wywołać w mej duszy zachwytu,
I nigdy nędzom wojny nie dam racyi bytu.
Uwaga ta, rzecz prosta, wawrzynu nie zdziera
Z czoła Styki, Popiela, Kossaka, Bolera...
Wielkie stworzyli dzieło! Jeśli się na chwilę
Zapomni o ludzkości, to w tej krwi i pyle,

Tyle prawdy i myśli, wśród tej groźnej wrzawy,
Tyle budzi się wspomnień naszych cnót i sławy,
Że nawet najzimniejsze serca i rozumy,
Śledzą to arcydzieło — pełne czci i dumy.

. . . .

Wyszliśmy rozmarzeni. Zmrok zapadał szary,
W powietrzu wonie wiosny, dźwięki, światła...
czary!
Siedliśmy na ustroniu i tak godzin kilka,
Przemknęło nam rozkosznie, jakby mała
chwilka,
I była blisko północ, kiedyśmy powstali.

. . . .

Za tydzień Wam opowiem, co się stało dalej.

P. S.

Pytano mnie, dla czego nie zdaję tu sprawy
Z rautów, parad... naprzykład, z otwarcia
Wystawy?
Dla tego, żem nie widział jak się działo ono,
Bom nie był; a nie byłem, bo mnie nie proszono.
I całkiem racyonalnie: na paradnym zrębie,

Sadza się Pawie, Czaple, Papugi, Jastrzębie...
A jam jest dzięcioł tylko; a zatem z rodzaju,
Który wrzeszczeć i szarpać nie ma we zwyczaju.
Cui bono go prosić? Dalibóg nie warto.

. . . .

Ogłaszam, że Wystawa została otwartą.

9. Czerwca 1894 r.

III.

Było wpół do dziewiątej, najwyżej dziewiąta;
Wychodziłem, sięgałem po parasol z kąta,
Gdy wtem niespodziewanie w drzwiach się ukazała
Poczciwa twarz mojego szlachcica Michała.
„A ty zkąd?“ zapytuję. — „Widzisz, mój kochany,
Odpowiada pan Michał, mam gienialne plany.
Słowo daję, gienialne! Chodźmy na Wystawę.“
„Co, mówię, teraz, rano? a to jest ciekawe?“
„Ciekawe nie ciekawe, pan Michał odpowie,
W każdym razie praktyczne, zawierz mojej głowie.
Zresztą powiem ci, słuchaj: znasz ten, Baczyńskiego,
Pawilon, restauracya, wiesz, co to ten... tego...
Czterdzieści Krakowianek sprowadził z Krakowa?

Powiadam ci, delicye! niech się Paryż schowa!
Byłem tam wczoraj wieczór, na nic się nie zdało!
Publika tak okrutną pcha się tam nawałą,
Dziewczęta tak się kręcą, że, słowo honoru,
Nie wiem nawet jakiego która jest koloru.
Wiem tylko, że delicje! Owoż, Mości Panie!
Umyśliłem, ażeby pójść tam na śniadanie.
Rano nie ma nikogo, zabawić się można,
Rozumie się, przystojnie zwolna i z ostrożna.
Zabieraj się i chodźmy."
Uśmiałem się szczerze.
„Wybornie, zawołałem, bardzo temu wierzę,
Ale z tobą nie pójdę, muszę iść do biura..."
Pan Michał odszedł, mrucząc: to ci zmokła
kura...

. . . .

Kiedym wyruszył z domu, zaraz po obiedzie,
Patrzę, a mój Michałek fiakrem sobie jedzie.
Stój! woła... i pędzimy razem na Wystawę.
„Cóż, mówię, krakowianki, dzikie czy łaskawe?"
Pan Michał machnął ręką: „ot, powiem ci
bracie,
Vanitas, Vanitatum! Zaraz po herbacie,
To jest wódce, zasiadłszy nad porteru szklanką,

Spróbowałem gawędy z jedną krakowianką.
Ale mi jakoś nie szło — więc poszedłem sobie.
Lecz jutro znowu pójdę, i już wiem co zrobię...

. . . .

Tymczasem-śmy stanęli i przez turnikiety
Weszliśmy na Wystawę. Pan Michał, niestety,
Był jakiś osowiały, przybity i dziki.
Chciałem go rozweselić. „Chodź do Ameryki,
Powiadam, zobaczymy ich Saloon i cuda.
Murzynki... a nuż może która ci się uda?"
Poszliśmy, lecz nie wiele mieliśmy uciechy.
Pan Michał szepcze do mnie: „paskudne jak grzechy".
A niech je kule biją, to ci panie gęby!
Jak na złość jedna do nas wyszczerzyła zęby!
Daliśmy fugas chrustas, i kroki wielkiemi,
Uciekaliśmy ledwie dotykając ziemi,
Aż wpadliśmy sam nie wiem nawet jak — do szopy,
Gdzie w klatkach ustawiono świniaki i skopy.
Pan Michał aż odetchnął. „To ci widowisko,
Wołał uradowany, patrz, patrz, tu, tu, blisko,
Co za baran! wspaniały! albo ten, z tej strony,
Pyszny! Co za powaga, jak jaki uczony!

Albo patrzaj, ta świnia, albo te prosiaki!
Albo ten wieprz! tak leży jakby bankier jaki!
Albo to! nie widziałem tego odkąd żyję,
Patrz, świnia ma wstążeczką przewiązaną szyję!
To dopiero komedje! aż miło! aż miło!“
I tak gadał, że wreszcie go to umęczyło.
Więc powiada, nieśmiało zwróciwszy się do mnie:
„Możebyśmy co zjedli, tak, uważasz skromnie?
Tylko gdzie? Krakowianki dały mnie arbuza,
Niemcy jadają podle... chodźmy do Francuza.“
„Zgoda“ mówię. — Siedliśmy: dwa kieliszki wódki,
Cztery różowe raczki, omlecik malutki,
Pół buteleczki wina, kurczątko z kompotem...
Ile?!!! Co tam, najlepiej i nie mówić o tem.
Słony Francuz, bo słony! zresztą pal go kaci,
Daje zdrowo i nieźle! A kto chce niech płaci.

. . . .

Zapaliwszy cygaro, puścilişmy wodze
Marzeniom; Nad pogodą bolelişmy srodze,
Chwalilişmy nasz Lwowek miły i gościnny...
Gdy wtem nadeszła chmura, lunęło jak z rynny!
Rejterada! Hej! fiakier; Aha, z makiem figa!

Aż tu, patrzymy — zacna elektryka miga!
„A to, mówię, spotkało nas prawdziwe szczęście,
Pakujmy się Michale, ano szykuj pięście,
Bo inaczej nie można...“ Przecudowna jazda!
Nad dachem błyska gwiazda, pod kołami
gwiazda...
Suniemy... aż tu nagle — halt! ani rusz dalej!
Bodajże, z przeproszeniem, djabli cię porwali!
„Wyłaź, mówię, kolego, znam jej obyczaje:
Kiedy śmiga to śmiga — jak staje to staje.
Nie ma co z nią i gadać, nieczuła jak drewno,
Maszerujmy piechotą — dojdziemy na pewno·“

. . . .

Pan Michał był zgorszony. Cóż to za parada,
Jęczał, brodząc po wodzie jak jaka Najada,
Podrutowali miasto jak garnek stłuczony,
I jaki ztąd pożytek?... Cóż to za gawrony
Dali tę elektrykę!?... Bój się pana Boga!
Zawołałem: „Michale, wyjdziesz na raroga!
Posłuchaj, elektrykę dali ojce miasta,
A więc musi być dobrą — zatem milcz i basta.
Ty nawet nie wiesz jacy to mężowie wielcy!
Niemyśl jako do łyżek tylko i widelcy,
Oni są do wszystkiego. Co do elektryki,

To w radzie miejskiej były w tej materyi krzyki,
I spory i debaty, kwasy i hałasy,

Jednak rzecz rozstrzygnęły wielkie tołumbasy,
Z którymi ani gadaj! bo to są okazy,
Na których nawet spojrzeć nie wolno dwa razy.
Powiadam ci — powagi! Minę mają gęstą
A i rozum niekiedy — chociaż nie zbyt często.

. . . .

Dobranoc, bo ty w lewo idziesz, a ja w prawo,
A pamiętaj, wstąp do mnie jutro przed Wystawą.

18. Czerwca 1894 r.

IV.

Wczoraj, gdym czarną kawę pił z panem
Michałem,
Rzekłem: „bardzo to pięknie, że z takim zapałem
Biegamy po tej naszej, kochanej Wystawie;
Bardzo to pięknie mówię, lecz jestem w obawie,
Żeby nas nie wyśmiano: Cóż bo od niedzieli,
Jak włóczymy się razem cóżeśmy widzieli?
Krakowianki — te nawet po wierzchu jedynie,
Barany, elektryczne tramwaye i świnie."
Pan Michał aż podskoczył; szarpnąwszy
serwetą,
„Dobrodzieju, zawołał, protestuję, veto!
Jak możesz zacne świnie kłaść obok tramwayu?
W niejednym, kochaneczku bywałem ja kraju,
No i widziałem w życiu niezłą moc skandali,

Lecz by ludzi z tramwayu w błoto wyrzucali,
Tego Ci nawet prosie, głupie nie uczyni.
Co zaś do naszych miłych, wystawowych świni,
Powiem Ci tylko tyle: daj nam panie Boże,
By w naszej polityczno-społecznej oborze,
Męże blasku, juryści czy ekonomiści,
Byli, jak te stworzenia tak grzeczni i czyści.
Nie mówiąc o pożytku...“ „No, no, mniejsza o to,
Odrzekłem, nie przybyłem tu bawić się cnotą,
Chciałem tylko powiedzieć, jako galopada
Nasza może być śmieszną, i że nam wypada
Kolejno i porządnie zwiedzać pawilony.
Ot weźmy ten naprzykład, pierwszy z lewej
strony:
Jakże się on nazywa?... aha, dziennikarsko-
Czy introligatorsko-kupiecko-księgarsko —
Oraz fotograficzno-literacko-lwowski.“
Lecz pan Michał uczynił giest nieco mniej boski.
„Et, powiada, widziałem ten pawilon rano;
Groch z kapustą! tak wszystko tam napakowano,
Fotografje, dzienniki, albumy i księgi...
Że połapać się trudno; niekoniecznie tęgi
Urządził to literat; prowadź mnie gdzieindziej.“
Ha, mówię, kiedyś takiś kapryśny asindziej,
No, to cię zaprowadzę do takiej krainy,

Że zapomnisz języka. Widzisz te krzewiny?
A na ich tle pałacyk łagodnie strzelisty,
Niby letnie mieszkanko dla kapitalisty?
To jest pawilon miasta stołecznego Lwowa.

. . . .

A od głodowej śmierci niech nas Bóg nchowa!

. . . .

O Lwowie mój serdeczny, Lwowie ukochany!
Któż to udekorował tutaj twoje ściany?
Wchodziłem w twoje progi pełen dumnej pychy,
A wyszedłem pokorny, wstydliwy i cichy.
Bo i cóż tam uderza widza wzrok zdumiony?
Oblicza Ojców miasta, sroka i dwie wrony.
Zaiste, musiał być to żartowniś nielada,
Skoro wmówił w stu rajców, jako ich gromada
Zaimponuje ludziom albo ich ucieszy.
Niechże go za tę farsę Bóg dobry rozgrzeszy.
Tu uwaga: przysięgam na wszystkie świętości,
Jako do Radców miasta nie mam żadnej złości.
Wiem że wśród nich są męże serca i rozumu;
Lecz, czyli to, że giną wśród setnego tłumu,
Czy też co, dość że Rada miejska dobrodzika,
Ryczy bo ryczy, ale — mało daje mleka.

. . . .

Pan Michał był znudzony, chciał wracać do
domu;
Nie chcąc ażeby odszedł pod wrażeniem sromu,
Wciągnąłem go do willi, gdzie nasza oświata
Realnie do serc naszych i mózgów kołata.
Patrzyliśmy w milczeniu na wszystko do koła,
Schylając przed ogromem cichej pracy czoła,
Pracy, która tak często jest zapoznawana.
Aż widząc w miniaturze słynny park Jordana,
Pan Michał nie wytrzymał. „Bodaj go pioruny!
Wołał, to on to robi sam z własnej fortuny?"
„Nie z fortuny, odrzekłem, ale z ciężkiej pracy"
„Bodajby na kamieniu rodzili się tacy",
Rzekł pan Michał, i mówić chciał coś jeszcze
dalej...
Ale że z pawilonów właśnie wydzwaniali,
Więc wyszliśmy, a chociaż było piękne błoto,
Ruszyliśmy do miasta potulnie piechotą...
Bowiem z naszej Wystawy, dzięki nie wiem
komu,
Będzie mądry, kto znajdzie czem jechać do
domu.

. . . .

P. S.

W ostatniej pogadance rzekłem: „pal go kaci,
Słony Francuz, bo słony, lecz kto chce niech
płaci“.
Dziś powtarzam, jakkolwiek może nie wypada,
Że taki, kto ma na to, niechaj słono jada.
Wszakże słuszniej by było; gdyby rodak prawy,
Trzymał monopol zdzierstwa.
Dyrekcyo Wystawy!
Ty coś jest zacna, mądra, ukochana taka,
Idź do djabła z Francuzem — a daj nam Polaka.

26. Czerwca 1894 r.

V.

Wiele-m fars miał z kolegą Imć panem Michałem,
Lecz takiej jak ostatnia, to chyba nie miałem:
Byliśmy na wystawie... pan Michał coś wzdycha
I coś pod nosem mruczy... „A idź-że do licha,
Powiadam, z melancholią i poezyą swoją!
Patrz lepiej jacy ludzie w koło nas się roją.
O, o, widzisz węgierski hrabia Pas-Valaty...
A, a, mówi pan Michał, tak, tak, popielaty...
Albo tam, mówię, włoski książę di Salami...
Aha, rzecze pan Michał, z wielkiemi rogami...
Albo ta baronowa, mówię, von Pastrana...
Tak, tak, mruczy pan Michał, wiem, ta nakrapiana...
Myślę sobie — zwaryował! Co on biedak plecie?
Ja mówię o personach głośnych w całym świecie,
A on... aha rozumiem! facyata obrzydła!
On bredzi o okazach wystawowych bydła!

„Nie, powiadam, Michale, jesteś niemożliwy
Z twoim bydłem, cóż znowu za tak wielkie
dziwy
Te tam byki, cielęta, woły albo krowy?
Naprawdę, to mi nawet nie przyszło do głowy
Zajrzeć do nich.“ — „Nie byłeś, pan Michał
zawoła,
Bój się Boga! to chodź-że — pokażę ci woła...“
„Nie pójdę, odrzuciłem, co za pasya dzika!
Wolę patrzeć na księcia“ — „A ja wolę byka“,
Rzekł pan Michał i ciągnie prosto do obory...
Więc piękności bydlęcej oglądałem wzory;
Grubokarczyste, tłuste, brzuchate, rogate,
Czarne, czekoladowe, pstre, bułeczkowate...
Bardzo piękne, przyznaję, lecz kiedym ich progi
Opuszczał, odetchnąłem; bowiem wszelkie rogi
Nie są w moim rodzaju; wiem ja doskonale,
Że istnieją pazury, szpony, zęby... ale
Te choć dybią na zdrowie oraz całość naszą,
To jednakże — schowane — przynajmniej nie
straszą.
Po co mam być straszony! nie mam żadnej chęci...
. . . .
Ale, omal nie wyszła mi całkiem z pamięci
Facecya, jaka właśnie w stajni nas spotkała:

Piękna dama się zbliża do pana Michała,
A widząc wielkie cielsko z krwawemi oczyma,
Mówi: jaka to szkoda, że tu służby nie ma,
Chciałam wiedzieć, czy dobre od tej krowy
mleko?
To, odrzecze pan Michał, pani Dobrodziko,
Jest, z przeproszeniem — buhaj. — Wtem wy-
szła z podsienia
Dziewka; na nią więc spadły dalsze objaśnienia,
A myśmy wyszli; poczem że już była *hora,*
Canonica, inaczej, na posiłek pora,
Złożyliśmy naradę, co zjeść i u kogo.
Ja byłem za Baczyńskim, ale swoją drogą
Wymieniłem francuza, żyda oraz szwaba.
Pan Michał mnie ofuknął: za jakiego draba
Masz ty mnie dobrodzieju! Czy ja wrona jaka.
Żebym jadł u Francuza, kiedy mam Polaka?
A zresztą, Baczyńskiego, już dzisiaj nie ganią,
Podobno daje zdrowo, porządnie i tanio.
A no, dobrze, powiadam. No, i w samej rzeczy,
Napaśliśmy uczciwie nasz brzuszek człowieczy,
Bez obrazy kieszeni.
Kiedyśmy powstali,
Żeby pójść się rozejrzeć w maszynowej hali,
Pan Michał rzecze do mnie: a może, braciszku,

Łykniemy, tak na drogę, sobie po kieliszku?
Zgoda, mówię, lecz czego? — wina ja nie lubię...
Tu pan Michał pogładził się dłonią po czubie,
I uczynił poważnie tajemniczą minę.
Poczem wyjął z paltota małą bkteleczynę,
Ecce liquor, powiada; zakład panie bracie,
Jako takiej esencyi we Lwowie nie znacie!
Skosztowałem — delicye! — Cóż to jest takiego?
Skąd to masz, pytam, gadaj! kochanku, kolego,
Wszak wiesz, jak ja z wszelaką przyjaźnię się
wódką!
Przewyborna, no, gadaj, a prędko i krótko!
No, no, dobrze, powoli, pan Michał odrzecze:
Owóż wiedz, prochu marny, mizerny człowiecze,
Że to jest napój godny gardła królewicza,
Że to jest, mości panie, „Beskid“ z Drohobycza!
Z jakiego Drohobycza? nie zawracaj głowy!
Powiadam, to to miałby być wyrób krajowy?
A no, patrz, rzekł pan Michał: „Wiśniewski
i spółka“.
A ileż, pytam, taka kosztuje ampułka?
Nie wiem, rzecze pan Michał, dostałem w pre-
zencie,
No, no, mówię, jak wrócę, zaraz w tym momencie
Kupuję sto butelek... „Terefere kuku!“

Rzekł pan Michał, i śmiał się ze mnie do roz-
puku,
Niedostaniesz! nikt o tem we Lwowie nic
nie wie,
Dlaczegoż nie sprowadzą? zawołałem w gniewie.
Dla tego, że we Lwowie jesteście półgłówki,
Rzekł pan Michał, wlewają w was „Bałaba-
nówki“,
I tym podobne lury, a wy jak barany,
Pijecie... Dobrze, rzekłem, ależ mój kochany,
Czemu Drohobycz nie ma tu składu we Lwowie?
Albo ja wiem, pan Michał mi na to odpowie,
Juściż musi być powód, choćby jaki taki,
Zapewne w Drohobyczu są takie pijaki,
Że wypijają wszystko, dodał, to być może...

. . . .

I byliśmy obydwaj w posępnym humorze.
Tembardziej, że z zachodu wymknęły się
chmury
I deszcz lunął jak z cebra, po raz niewiem
który.
Pan Michał zaczął gderać, aż doszedł do złości,
Co u was za porządek! Sprowadzacie gości,
Powiada, Bóg wie jakich wielkich dygnitarzy,

I z zimną krwią patrzycie, jak ich słota praży!
O nas mniejsza, my sobie jesteśmy chudziaki,
Ale jak można znosić by dygnitarz taki —
Moknął! Gdzież jest policya, gdzie wojsko,
gdzie władze?
Prawda, rzekłem, ja jednak na to nie poradzę.
Widziałem ci ja rzeczy smutniejsse daleko:
Raz, pamiętam, na polu, pod lasem, nad rzeką,
Sto tysięcy wojaków wyszło na paradę...
Słońce, nie wiem dla czego, było jakieś blade...
Zdaje się, że ze strachu, całkiem naturalnie,
A nuż który wymierzy i w oko mu palnie?
Ja sam, małom nie zemdlał, widząc jak do góry
Sto tysięcy rycerzów wyszczerzyło rury...
Aż tu wyłazi chmura, mała głupia chmura
I leje przez godzinę... patrzę — awantura!
Lejtnanty, kapitany, majory, sztab cały,
Rejterują, puściwszy szeroko pedały,
Klnąc Himmel-Sakramentem, i stuliwszy uszy...
Powiadają, że dotąd niejeden się suszy.
Tak to jest na tym świecie, i nic nie pomoże,
Chyba jedyne tylko zmiłowanie Boże.

3. Lipca 1894 r.

VI.

W ostatniej pogadance byłem oburzony
Na wojsko i policję, że tak ważne strony
Społecznego porządku, jak deszcz padający,
Traktują mimochodem i jakby niechcący...
Owoż dziś skonstatować jest mi bardzo miło,
Że po moich uwagach się rozpogodziło.
Ztąd wniosek, jako nasze polityczne władze,
Z każdą chwilą w energii rosną i powadze,
I jak to mówią darmo nie zjadają chleba,
Tylko je często — gęsto podszczypywać trzeba.
Co wszakże nie uwłacza nikomu i niczem.
Toż i szlachetny rumak spotyka się z biczem.
Mnie samego, jakkolwiek niewinnie podcięto.

A była to niedziela, czy też inne święto.
Znalazłem się w kościele Ojców Jezuitów.
Nie należę do świętych, ani hipokrytów,

A zatem powiem prawdę: wstąpił na ambonę
Młodziutki Ojciec Jacek; oczy miał zielone,
Nos czuły, usta słodkie; podniósł wielką sprawę,
Gromił tych, co w niedzielę chodzą na wystawę
Zamiast bywać w kościele. Koło mnie siedziała
Staruszka, przygarbiona, jak gołąbek biała,
Poczciwa kobiecina; schyliła się ku mnie
I rzekła: „Ojciec Jacek mówi dziś rozumnie,
„Tylko szkoda, że łaje nas, którzy w niedzielę
„Po Bożemu, mszy świętej słuchamy w kościele,
„Gdy tacy, którzy piekłem i rozpustą dyszą,
„Jego świętych piorunów nic a nic nie słyszą".
Słuchałem; lecz że w domu Bożym się nie gada,
Kiwałem tylko głową; wszakże święta swada
Świętego Ojca Jacka przejęła mą duszę.
Wskutek czego co czuję wyrazić tu muszę:
Przezacni Jezuici! Ojcowie kochani!
Wy, którzy-ście mądrością i złotem nadziani,
Moglibyście mieć swoje własne pawilony
Na krajowej Wystawie, no, i tam, z ambony
Gromić tych, co się świeckiej oddają zabawie.
Tam i Wasz Ojciec Jacek byłby w sam raz
prawie;
A tak co? Choćby walczył pałką i kilofem
Sto lat, to nie zostanie żadnym filozofem,

Nawet *honoris causa*, jak to się wydarza
Mężom, co u wielkiego zasiadłszy otarza,
Przyjmują jako prawdę — służalstwo i blagę.
Tu, uczynię maleńką, praktyczną uwagę:

Wybrańcom się nie dziwię; bo uczucie dumy
Najpotężniejsze nawet rozwalnia rozumy.
Ale co mnie zdumiewa, to to, że Wszechnica,
Nasze słońce, pochodnia, nasza lampa, świeca,
Nie chciała czekać roku na ten moment śliczny,
Gdy we Lwowie fakultet już stanie medyczny!
Wtedy to, mężom, którzy swym wpływem i siłą
Pomogli, że się katedr kilka urodziło,
Możnaby było zgodniej z logiką sceneryi,
Śmiało nadać doktorski dyplom — akuszeryi!
Bądź co bądź, ma Wszechnica zasługę nielada,
Że naukę nam w mózgi *a la minute* wkłada,
Filozofów krajowi dając z Bożej łaski,
Coś niby jak Jankowski parowo kiełbaski.

Tak sobie w parku Stryjskim, włócząc się
dumałem,
Gdy-m oko w oko spotkał się z panem Michałem,
O którym już mówiłem, szlachcicem z Podola,
A zwierzywszy się wzajem każdy z swego mola,

Siedliśmy, odpoczynku by zażyć na ławie.
Poczem razem puścilismy się ku Wystawie...
Chodzimy tam codziennie; a zatem już wiele
Widzieliśmy; pisałem o tęm co niedzielę
W świętej pamięci świstku braci dziennikarzy,
(W „Gazecie Wystawowej“) — niech ich Bóg
obdarzy
Szczęściem, zdrowiem, dostatkiem... ale mniej-
sza o to.
O czem to chciałem mówić?... aha!
Było błoto,
Zwłaszcza gdzie ścisk największy, tuż przy
turnikiecie,
Darło się w niebogłosy tam maleńkie dziecię,
Któremu lepka glina trzewiczek połknęła...
Dyrekcya dokonałaby wielkiego dzieła,
I użyła większego jeszcze niż dziś miru,
Gdyby tam nasypała ze trzy fury żwiru...

Myśmy z panem Michałem, z tej grząskiej topieli
Na palcach i na piętach jakkolwiek wybrnęli,
A wyjąwszy z kieszeni każdy po trzy centy,
Zasiedliśmy na krzesłach...
Mój ty Bożo święty!
Co za widok serdeczny! Jak szybko czas leci!

Tu trąbki sokolików! Tam krakowskie dzieci,
W sukmankach, rogatywkach, a żwawe, a hoże,
Choćby w ogień i wodę zaraz... szczęść im Boże!
Przesuwają się gogi głupio-bladej miny,
Braci szlachty sumiaste wąsy i czupryny,
Wiecznie miłe lwowianki... wodotrysk się pali...

Była późna godzina kiedyśmy powstali,
Ruszając ku domowi. Pan Michał po drodze
Odzywa się: „wiesz bracie, frasuje mnie srodze,
Że nie rozumiem ile jest w tem wszystkiem
racyi,
Co ludzie o francuskiej prawią restauracyi?“
„Cóż takiego?“ powiadam. — „Ano, ludzie plotą,
Rzekł pan Michał, jakoby tam płynęło złoto
Na jakieś bachanalje, czy też nocne tany...
Które tam wyprawiają nasze jasne pany,
Ćwikając swą jasnością biednym ludziom
w oczy...“
„Mój kochany, odrzekłem, świat się kołem toczy,
I zawsze tak bywało: ten kto ma pieniądze,
W ten albo inny sposób nasyca swe żądze,
Zależy to od serca i od przekonania.
Słyszałem właśnie o tem rozmaite zdania:
„Że lepiejby hulanki te urządzać w domu“...

To znowu „że do tego nic nie jest nikomu“...
Na jedno tylko wszakże jest powszechna zgoda:
Że taka naszych panów moda czy wygoda,
Że taka ich odrębność pewnego gatunku,
Nie jedna im powagi w kraju i szacunku.
Ja, bracie mój serdeczny, gdybym miał miliony,
Pragnąłbym być kochany, szanowany, czczony...
Ale gusta są różne — są którzy inaczej
Obowiązki pojmują — niech im Bóg przebaczy.

Zamilkliśmy i szliśmy wśród gwiaździstej nocy,
Jako nędzne robaki wobec Bożej mocy.

10. Lipca 1894 r.

VII.

Jeżeli w tym bezczelnie piekielnym upale,
Oddycham jako tako, pana Boga chwalę,
I łażę po Wystawie — żyję jednem słowem,
To chyba tylko dzięki Marjówce pod Lwowem.
Byłem tam cały tydzień, aby należycie
Przez tarcie, oblewanie, tuszowanie, mycie...
Przygotować znękany mój umysł i ciało
Na Kongres Literacki; i mogę rzec śmiało,
Że rezultat był świetny. Spokój, „wikt“ wspaniały,
Las, powietrze i woda, tak mnie zhartowały,
Że mogłem na kongresie bez wielkiej subjekcyi
Wysłuchać najcierpliwiej czterdziestu prelekcyi,
Stu osiemnastu mówek i zjeść trzy bankiety.
Co prawda to w kompanii były i kobiety,
Ma się rozumieć miłe, co w każdej okazyi
Zdwaja męzką energię i polot fantazyi.

Bądź co bądź te turnieje literacko-wieszcze
Udały się *grandioso;* a gdy nadto jeszcze
Dodamy zacnych gości twarze ukochane,
Braterskie rąk uściski i myśli zamianę,
To możemy szczęśliwi być, żeśmy dożyli
Tak pięknej, tak serdecznej i podniosłej chwili.
Potrzeba było widzieć dzielnych Koroniarzy,
Litwinów, Wołyniaków... jak z ogniem na twarzy,
Ze łzą w oku słuchali narodowych pieśni,
Jak pełni uniesienia, mężni a bolešni,
Winszowali zwycięztwa nam w publicznej sprawie,
Błogosławili pracy naszej i Wystawie.
Trzeba było to widzieć i czuć z nimi razem . .

. . . .

Mówią, że się znalazły jednostki z wyrazem
Ironicznej krytyki; ale ich wywody
Nie zdołały zamącić jednomyślnej zgody,
W sądach o naszym trudzie w ciężkiej naszej doli.
Zaiste, chyba tylko pierś zawistnej woli,
Płytki umysł, mizerne, zabawne pajace
Mogą jad swój wyrzucić na naszą dziś pracę

Dla pożytku Ojczyzny... Mniejsza o te sowy.
Zresztą może to bajki...
Wracam do osnowy
Niniejszej pogadanki; a streszczając oną
Powiem, że Warszawiacy, wszyscy *unisono*,
A w szczególności piękne panienki i panie
Poleciły mi złożyć swe podziękowanie
Za przyjęcie gościnne, serdeczne a chwackie,
Jakie im zgotowało „Koło literackie“.
Były pełne uniesień, pochwał *et caetera*...
Tak to zawsze rycerskość — nagrodę odbiera.
Jeszcze jedno, słuchaczu zacny i łaskawy:
Oto nim cię posadzę na placu Wystawy,
Opowiem ci w krótkości jaka mnie spotkała
Od naszych polityków gienialnych — kabała.
Gryzą mnie, żem głos zabrał na pewnym bankiecie.
Zwykle mnie nie obchodzi, co kto o mnie plecie;
Ale że tu w grę wchodzą moi przyjaciele,
Odpowiedzieć im muszę — choćby mało wiele:
Więc najprzód uroczyste daję na to słowo,
Że w równej mierze kocham: „Dziennik“, „Narodową“,
„Lwowską“, „Przegląd“, „Kurjera“ i inne gazety;

Że wzajemne ich kwasy, waśnie i pamflety
Zgoła mnie nie obchodzą; zatem w każdej
sprawie
Sprawiedliwość i prawdę za cel sobie stawię.
A że niedbam o łaskę i pełne kieszenie,
Robię to, co mi honor każe i sumienie.
Oto com miał powiedzieć; a jeżeli mowa
Moja jeszcze wątpliwość jaką w sobie chowa,
Dodam, że choć maluczką jest moja osoba,
Czynię, mówię i piszę co mi się podoba.

. . . .

A teraz na Wystawę naszą ukochaną!
Która taką przedziwną ma sobie moc daną,
Że uspakaja nerwy i łagodzi troski.
Jesteś chwilę i oto jakiś spokój boski
Ogarnia myśli twoje; nędze i kłopoty
Zapadają w niepamięć, a promienno-złoty
Rąbek słodkiej nadziei do duszy ci płynie.
Dziwne uczucie szczęścia!... a które jedynie
Spełniony obowiązek w nagrodę nam daje.

. . . .

Mimowolnie wkroczyłem w obce dla mnie kraje
Górnolotnej liryki; zamiast pawilony

Odwiedzać... trudno, jestem dziś tak rozczulony,
Że chyba tylko dobrze bić się byłbym w stanie.
Więc najlepiej jeżeli zakończę pisanie.
Pogadanka i tak jest dosyć wojująca,
A to nie jest zbyt zdrowo na takie gorąca.

25. Lipca 1894 r.

VIII.

Jeden z moich krytyków, przyjaciel najszczerszy,
Zarzuca mi, że w każdym niemal z moich
wierszy,
Musi siedzieć kobieta, i do tego miła.
Owoż, ażeby racya jego górą była,
I by do końca świata był mną zachwycony,
Przeskakuję umyślnie różne pawilony,
I staję przed ostatnim, który się nazywa
„Pawilon pracy kobiet"..
Gdyby nie leniwa
Fantazya mego mózgu, to ów przepych słodki,
Jaki tam roztoczyły nasze lube kotki,
Wywołałby w mej piersi dwutomowe krzyki
Słodko-sentymentalno-niebiańskiej liryki;
Lecz, że, jak powiedziałem, biedna moja muza,
Dostawszy lirycznego od losu arbuza
Po ziemi łazić musi, więc i w pawilonie

Kobiecym, czułe trele zostawiam na stronie,
I ostrze mej satyry kieruję no drogę
Objektywnej krytyki...
Ba, kiedy nie mogę —
Wojować z kobietami; bowiem serce moje...
Et, co tu długo gadać, albowiem się boję.
Zresztą spróbuję — śmiałość stwarza, mówią, cuda.

. . . .

Zewnętrzna pawilonu postać — nieco chuda,
Pełna sielsko-ciesielskiej prostaczej urody;
Coś na kształt magazynu na siano...
Trzy schody,
I oto nas witają dwa sfinksy — dwie lwice.
Siedzą ciche, gładziuchne, pulchne, białolice,
Grzywki równo strzyżone, kołnierzyki w rurki,
Podane naprzód łapki, schowane pazurki,
Godne przedstawicielki niewieściego rodu.
Idę dalej, na prawo od samego wchodu,
Dziewięćdziesiąt i osiem nowych sfinksów znowu,
Czyli Doktorek; swego i cudzego chowu.
Niech ich Bóg błogosławi i ma w swej opiece.
Oglądałem dyplomy ich za szkłem i w tece...

Grandioso! Mimowoli ugiąłem kolana;
I byłbym tak przeklęczał do samego rana,
Gdyby ach, nie obawa być może jałowa,
Że policya zabierze mnie do Kulparkowa.
Więc wstałem i ruszyłem znów na prawo dalej.
Tu ci dopiero bankiet! Jedna czy dwie sale
Założone kunsztownie cudownemi fraszki:
Poduszeczki, serwetki, gwiazdki, kłoski, ptaszki
Szyte jedwabiem, srebrem, rybią łuską, złotem...
Proszę siadać i tyle! Ale że ja o tem
Wszystkiem wyobrażenie mam wcale niespore,
Więc tylko zachwycony nogi za pas biorę,
I znów do westibulu zwracam moje kroki,
Gdzie przed zasługą ukłon mój składam głęboki.
Tu widzimy pisemko piękne „Mały światek“,
Zacną dłonią wiedzione dla pożytku dziatek,
Tu rozrzewnia nas praca naszych córek, która
Nie strojąc się w jaskrawo-pyszne pawie pióra,
Pod okiem kierowniczek światłych, skromna, cicha,
Wytrwałością i zdrowiem moralnem oddycha...*)
. . . . : . .

*) Mowa tu o znakomitej wystawie zakładu naukowego p. W. Niedziałkowskiej, i robotach ręcznych pensyonatu p. Zagórskiej.

Tuż między tą skromnością, zasługą i pracą,
Usiadło na talerzu miluchne ladaco —
Fryne, w stroju kuszącym prawego człowieka,
Nad nim ponury buldog z góry sobie szczeka...
Dlaczego tam go właśnie posadziły panie?
Może wiem, lecz dla siebie chowam rozwiązanie.

. . . .

Idźmy w lewo i patrzmy: w kołysance —
dziecko:
Czarnym jak węgiel oczkiem spoziera zdra-
dziecko.
Owinięte w atłasy i śnieżyste tiule...
Ślicznie tu, elegancko, serdecznie i czule,
Jednak w czasach gdy mężczyzn hymeno-wstręt
toczy,
Po co takie *memento* kłaść komu przed oczy?
Na szczęście błąd ten srogi łagodzi myśl słodka
Chwytająca nas w lubym kąciku podlotka,
I tuż obok w rozkosznej izbie panny młodej,
Gdzie aż apetyt bierze na weselne gody.
Cudnie tu i anielsko! I gdyby nie łóżko
Przerażająco wąskie, z maleńką poduszką,
Szerzące podejrzenie jako panny młode

Niemiłosiernie chudą miewają urodę,
Raj byłby tu kompletny. Choć i tak jest ślicznie.

. . . .

Za ścianą, konsekwentnie, mądrze i praktycznie,
Zacna usiadła kuchnia — z żelaza i stali.
Stu mężów wnet nasyci gdy się w niej zapali,
No, i ma się rozumieć w garnki mięso włoży,
Raki, ryby, kurczęta i inny dar boży.
Czołem przed nią! albowiem nie ulega kwestyi,
Że od brzucha, tej apokaliptycznej bestyi,
Zależą losy ludzkie — smutki i radości...
Omal żem nie zapomniał o cudnej słodkości
Likierów obok kuchni. Miłe butelczyny!
Czy też was wystawowe uwieńczą wawrzyny?
Chwała Wam, jak wszystkiemu, co w tym pa-
wilonie.

. . . .

A jednak jest rzecz jedna, nad którą łzy ronię,
Na którą się oburzam, i gniew rzucam wściekły:
Pytam się, jakim prawem kobiety orzekły,
Że niczego w ich domu dotykać nie wolno!
Cóż to, czy do czynienia mają z dziatwą szkolną?
Protestuję! Sąd w rzeczach jeśli ma być ścisły,

Muszą w nim uczestniczyć wszystkie nasze
zmysły.
Wszystkie, co do jednego, więc i dotykanie.
Piszcie więc co tam chcecie, moje miłe Panie,
My jednak, dokąd zdrowia posłuży nam doba,
Będziemy dotykali co się nam podoba.

. . . .

Koniec, a w końcu oto taki wniosek stawię:
Pawilony Pracy Kobiet—pierwszy na Wystawie.
Spodziewam się, że temu nikt z nas nie zaprzeczy.
A gdyby kto sąd inny śmiał mieć o tej rzeczy,
Niech go cofnie; inaczej — pójdę na sztylety.
Wyzwę go i zabiję.
Niech żyją kobiety!

10. Sierpnia 1894 r.

IX.

Jeżeli mam rzec prawdę, to jak mi Bóg miły,
Że mnie już wystawowe gawędy znużyły
To jest pisanie onych, że mnie już znużyło.
Bo chcąc się popisywać z satyryczną siłą,
Jeżeli już nie kąsać, to choć drapać trzeba.
Drapajże, gdyś się dostał do takiego nieba,
Jak ta nasza Wystawa; gdziebądź rzucisz okiem,
W prawo, w lewo, przed siebie... wszędzie masz pod bokiem
Dowody dobrej woli, pracy, poświęcenia...
Tak, że ni ztąd ni zowąd twa rola się zmienia,
I wnet panegirzystą stajesz się z krytyka.
Dziś mnie, naprzykład, taka historya spotyka:
Dumam, kogoby ugrzyźć — a tu nie ma kogo;
Rób co chcesz, biedna duszo ty moja niebogo

Lecz, że ja w żadnym razie nie tracę rezonu,
Więc wprost do „Łowieckiego“ ruszam pawilonu,
Gdzie się rozpanoszyły drapieżne zwierzęta.
Myślę sobie: nie jedno z nich mnie popamięta.
Mają one pazury — mam ja, Bogu dzięki;
Dam ja im, niech poznają co moc mojej ręki;
Wchodzę, patrzę: niedźwiedzie, wilki, rysie,
żbiki...
Ale gdzie ich drapieżność, gdzie obyczaj dziki;
Gładkie to, wyczesane, grzeczne i przystojne...
I jakże tu im, proszę, wypowiadać wojnę?
Co prawda, to te bestye są słomą wypchane,
I dla tego, być może, choć przyłóż na ranę.
Bądź co bądź, ten proceder wyszedł im na
zdrowie.
Aj! aj! gdyby to nasi niektórzy mężowie
Tak kazali się wypchać! Oj, byliby byli
Z pewnością bardziej zacni, przystojni i mili.
Ale co tam, popatrzmy lepiej na sarenki,
Na gąsek, kurek, sroczek i łasiczek wdzięki,
Na załzawione oczy tatrzańskich gazelii...
Tysiąc razy piękniejsze od tej waszej Elli.
Mówię — *waszej*, albowiem nie jest w moim
guście.
Nie lubuję się w takiej talii ani biuście,

Ani w podobnej rączce, nóżce i tam dalej...
A zresztą, wyście może ją lepiej poznali...
Jam ją badał z daleka, a wy może z bliska...
Nie lubię oka, które świdrująco błyska.
Wolę ja ją świdrować ale nie mnie ona.
Ostatecznie, piękniejszą jest od — koczkodona,
Przyznaję, pal ją licho! Łaźcie sobie do niej;
A ja sobie zasiądę po przeciwnej stronie,
Gdzie Pan Jan Ważny, nakształt czujnego
żurawia,
Bacznie śledzi swej kawy wybornej — bezprawia,
Gdyby się przytrafiły, co rzadko się zdarza.
Tak się winno pojmować rolę gospodarza.
Tam to jest moje *locum;* tam ja, przy stoliku,
Codziennie miłych godzin przepędzam bez liku,
Tam mi nowinki znoszą zacni przyjaciele,
Tam słodko ukajają mi nerwy — kapele,
A wodotrysku barwne mgły, światła i cienie,
Pobudzają fantazyę i... gwałtu!... natchnienie
Ach! natchnienie! raz w życiu chciałbym być
natchniony.
Tylko nie wiem, do tego, z której wziąć się strony.
Od tyłu, po za Ważnym, już nic — pole czyste!
Na lewo, w restauracyi — Francuz... Jezu
Chryste!

Ten potrafi natchnienie wygnać za rogatki!
Na prawo — świsty machin... zabieraj manatki
Przeanielskie natchnienie, bo i wprost przed sobą
Nie wiedziałbym co robić z twą godną osobą.
Tu ludek się przesuwa, uśmiecha się, gwarzy...
I wcale mu z weselem takowem do twarzy.
Więc *adieu!* masz na drogę oto parę centów,
I wio! — do symbolistów, albo dekadentów.
A ja sobie z humorem zostanę we Lwowie,
I drwić będę z wszystkiego, co się głupstwem zowie.

. . . .

Dziś jednak, muszę jeszcze pogadać na seryo:
Przykro mi, że wystąpię tu z naszą mizeryą,
Lecz powiem: W parku Stryjskim siedzi skandal taki,
Że na milę go leśne oblatują ptaki;
Łabędzie, kaczki mdleją, pszczoły wyzdychały...
Sączy się tam strumyczek w trawie — ciałem mały,
Ale potężny duchem; a pachnie tak pięknie,
Że kto się w parku znajdzie, zatyka nos, stęknie,
I umyka. — Nie jestem żadnym politykiem,

Więc nie wiem, co z podobnym robi się strumykiem,
Sądzę jednak, że dziennie dwie albo trzy miotły,
I dwa funty karbolu, moc jego by zgniotły,
O nas, poczciwych lwowian, wcale mi nie idzie,
Nosy nasze — potulne; lecz myślmy o wstydzie
Jaki nas spotkać może; wszak mamy mieć gości,
Najdostojniejsze mają przybyć dostojności,
Park odwiedzą na pewne; — no, i piękna chryja!
Dopieroż wrzask powstanie: „czyja wina?... czyja?...
Nie o winę tu jednak chodzi lecz o radę.
Dla tego propozycyę tu poważną kładę:
Ponieważ ci, do których porządek należy,
Nie zrobią go, choć biłbyś w nich ze stu moździerzy.
Zatem zróbmy go sami — dla honoru domu:
Którego dnia, raniutko, nie mówiąc nikomu,
Stańmy w parku z miotłami — choćby w pięćdziesięciu.
(Na jednego przypadnie dwa metry w przecięciu).
Szach masz, i rzecz skończona. Złożymy dowody
Iście obywatelskiej powagi, swobody,
Poczucia obowiązku i samopomocy,

A ktoby nie mógł we dnie — może przyjść i
w nocy;
Ja z miotłą i karbolem stawię się w sobotę.

. . . .

Dla dwóch pierwszych, przeznaczam dwa medale złote,
Jakie członkom rozdawał kongres literacki.
Bardzo piękne, owalne..

M. Rodoć Biernacki.

P. S.

Grzech miewa dziwne szczęście! Ledwie-m do
połowy
Zmobilizował miotły i kwas karbolowy, —
Lunął deszcz; i strumyka droga malownicza,
Wdzięczy się, jakby wyszła z rąk Ihnatowicza.
Ale to nic; trzymajmy miotły w pogotowiu...
Zobaczymy za dwa dni, za trzy dni, na nowiu...

25. Sierpnia 1894 r.

X.

Gwałtu! ludzie! ratujcie! Kogo? — moje
nerwy.
Cały tydzień od rana do nocy, bez przerwy
Iluminacye, rauty, bale, ceregiele...
„Czy też to na jednego trochę nie zawiele“,
Jak mówi arcyksiążę. Daj mu Boże zdrowie.
A działo się to wszystko w naszym lubym
Lwowie,
Stolicy ruskiej Polski, albo polskiej Rusi.
(Tą kombinacyą chyba nikt się nie zakrztusi).
Owoż w tych dniach nos, oczy, ręce, nogi, uszy,
Tyle subtelnych wrażeń gnały nam do duszy,
Że wszystkich-bym nie spisał na skórze wołowej.
Co też ja mówię „wszystkich“ — bodaj i połowy.
Nawet i moja dusza potulna a cicha,
Która gdzie jej nie trzeba nigdy się nie wpycha,
Nawet i moja dusza w dzień, wieczór i z rana,

Była przez cały tydzień mocno turbowana.
Cóż dopiero duszyczek i dusz innych krocie,
Które, (nie uwłaczając bynajmniej ich cnocie),
Latały jak szalone w ulicę z ulicy,
By oglądać jak nasi wielcy dostojnicy
Balansują, ucztują i wznoszą wiwaty,
Mające postulaty zmienić w rezultaty.
A no pięknie. Wogóle biorąc rzeczy ściśle,
Choć niekoniecznie mówiąc wszystkiego co
myślą,
Lwów te chwile ubiegłe długo popamięta.
Bawił się, biegał, huczał, jakby w jakie święta.
I rad był mądry, głupi, i senzat i gamen...
A co mu na pożytek bodaj wyszło — amen.

. . . .

Na Wystawie podobnież był huczek nielada.
Jaka tam śliczność była i jaka parada,
To wszystko już dzienniki pięknie opisały.
Ja tylko dodam tutaj ewenement mały,
Jaki miał mój przyjaciel, a który ciekawe
I całkiem nowo światło rzuca na Wystawę.
Miał on, biegając ciągle po Wystawie — buty,
W których stała się dziura, — więc chodził
jak struty;

Tembardziej, że monety licząc niezbyt wiele,
Nie chciał jej na poziome, jak but, dawać cele.
Wolał nieść na Wystawę. Mnie właśnie spotkała,
Dziwacznym zbiegiem rzeczy, podobnaż kebała.
Więc radzimy co czynić... aż w końcu debaty,
Rozważywszy zasady, prawa, systematy,
Abstrakcyjnym-śmy kwestyę zamknęli poglądem:
Jako brzydota dziury w bucie — jest przesądem.
Że jednak nie jest miło, gdy nogi zamokną,
I gdy moda zabrania mieć tak nisko okno,
Stanęło, by najprostszej jąć się procedury:
To jest, żeby na dziury dać łatki ze skóry.
Tak to Wystawa nasza, prócz różnych różności
Uczy nas filozofii, oraz oszczędności.
Kto powyższą logiką przekonać się nie da,
Niech pomyśli, że z łatą nie taka znów bieda.
Idąc sobie, naprzykład, tak macha się nogą,
Że oczy ludzkie łatki pochwycić nie mogą.
A siadając, należy usiąść z takim szykiem,
Ażeby but łatany skrył się pod stolikiem.
Mój Boże! Ileż razy rozum wręcz dziurawy
Przedajemy za cały! — trzeba tylko wprawy.

. . . .

Pragnąc wyczerpać wszelkie w tej materyi
zdanie,
Idźmy do pawilonu prasy. Tam, na ścianie
Stu mężów literatów w medalionach wisi;
Są tam czarni i biali, kudłaci i łysi...
Wydał je na świat „Stella“ *). Ilu też z nich
siedzi
Nie już na workach złota, ale choćby miedzi?
Dziesięciu, — reszta jest zaś tak lirycznej nuty,
Że nie wiem czy raz na rok miewa całe buty.
A jednak ci mężowie są dzielni, wspaniali,
Szanowani, kochani, mili i tam dalej.
Ja przynajmniej ich palec cenię grubo więcej,
Niźli głowy i serca i gardła i ręce
Pewnych naszych tenorów albo cławidudów.
Ludzie mogą ich sobie zaliczać do cudów,
I rzucać im honory i złoto pod nogi,
Ja jednak nie zaliczam ich pomiędzy bogi
I nigdy nie dawałem poklasku ich dumie,
Która dziś pokazała co chce i co umie.
Talentem swoim naszą uświetnić Wystawę,

---

*) Mowa tu o wielkiem tableau najwybitniejszych lwowskich osobistości, wykonanem nader artystycznie przez Zakład fotograficzny „Stella“ we Lwowie.

Ich jasne wielmożności nie były łaskawe...
Tego boli paluszek, tego szyjka — proszę,
Znam ja ich patrjotyzmek, wart jest ze trzy
grosze...
Błazny! niech tu przyjadą kiedy po guldeny,
Zobaczą w jakim sosie wylecą ze sceny,
I jaką pamiąteczkę da im Lwów na drogę.
Ja przynajmniej z mej strony uczynię co mogę.
Uniosłem się; nie umiem wyrażać się mglisto;
A jakkolwiek nie jestem żadnym szowinistą,
Nie znoszę tych, co polskim wykarmieni
chlebem,
Drwią sobie z naszych uczuć, gdzieś pod obcem
niebem.
Mógłbym te indywidua przedstawić wam zbliska,
Ale mi wstyd doprawdy mówić ich nazwiska,
Które i tak utoną w wiecznej niepamięci.

. . . .

Zirytowany nieco, nie miałem już chęci,
Pisać dalej; gdy nagle przypomniałem sobie,
Że mam kilku przyjaciół, co przy wielkim żłobie
Smacznie jedząc i pijąc, wiedzą to i owo,
Że zatem z mojej strony niezbyt honorowo
Byłoby, gdybym od nich nie dostał języka,

Dla pożytku miłego mego czytelnika.
Owoż się dowiedziałem od nich, że — deszcz
pada,
To jest że przed paradą prała nas szkarada.
Dlaczego? — niewiadomo. Jedni byli zdania,
Że niebo nam zazdrości, więc słońce zasłania,
Inni znowu przeciwnie: jako niebo chciało
Byśmy w chwili mającej uwieńczyć nas chwałą,
Byli piękni i czyści — dlatego nas myło.
Logika tych poglądów bije taką siłą,
Że ważąc je przez trzy dni, tak jasno mam
w głowie,
Jak wielcy polityczni nasi angorowie,
Co to takie stawiają nieomylne wnioski,
Jak pogodę kalendarz ongi berdyczowski.
Sądzę, że postawiona tu sprawa czystości
Tak naszej jak i naszych najłaskawszych gości,
Nie da się dziś rozstrzygnąć tak zaraz na prędce,
Wskutek czego kres kładę dalszej pogawędce.

14. Września 1894 r.

XI.

Sądzicie, że satyryk, w największym ferwerze,
Co tylko myśli, wszystko to powiedzieć może?
A no, chyba desperat by był lub miał bzika.
Wystawcie sobie, proszę, naprzykład rolnika,
Który w proste zagony chce zaorać pole,
A ma przed sobą ciężko-kamienistą rolę?
Rusza pługiem... ba, kamień; skręca w bok..
ba, drugi;
Bierze w lewo... wybornie: aż tu na usługi
Kamienisko jak beczka; w prawo — znowu taki.
No, i pokrajał glebę w koszlawe zygzaki.
Tak i satyryk — mierzy, gdy wtem, blizko celu,
Widzi prokuratora! Hola, przyjacielu,
Zawracaj jeśli łaska!... doskonale, brawo!
Upaliłeś sto wierszy; patrzysz, a na prawo
Wyłazi ci dyrektor lub szef twego biura...
Jest zwyczaj, że każdemu miła własna skóra.

Odwrót na łeb na szyję i marsz całkiem nowy,
W którym, co prawda, mniejsze okrążasz parowy
Przyjaciół, przyjaciółki, wierzycieli, banki,
Redaktorów... lecz zawsze, skoro wjedziesz
w szranki,
Robi się z twej satyry, hardej, w razie czego:
„Ni pies, ni wydra, coś na kształt świdra —
trzeciego“
Jak powiada Rozbicki, wiekopomnej chwały.
Podobne przypadłości właśnie napotkały.
Ostatnią pogadankę moją wystawową,
Choć nie była bocianem, krukiem ani sową,
Ani też zawierała karygodnych mrzonek.
Najprzód żądano, abym — uciął jej ogonek —
W imię strachu; następnie, dla solidarności,
Musiałem tu i owdzie połamać jej kości;
Wreszcie, w imię przyjaźni oraz miłej zgody,
Wylałem na jej głowę kubeł zimnej wody;
A że jeszcze niektórym była nie bez winy,
Z pałacu przeniesiono ją do oficyny.
Obrazek ten musiałem dać z tego powodu,
By czytelnik, gdy dozna czasami zawodu
Ze strony mej odwagi, wiedział co to znaczy:
Że i ja bywam czasem „myślący inaczej“.
Mój Boże! gdyby nie ten nędzny kawał chleba,

Nie jeden by z nas mówił to — czego potrzeba.
Smutno . . . .
. . . Więc dla wesela idźmy na Wystawę.
Bądź co bądź jest tam zalać czem najłzawszą
sprawę.
Zrobiłem statystykę: na sto i trzydzieści
Pawilonów, zgadnijcie ile w sobie mieści
Miody, wódki, koniaki, wina, albo piwa?
Osiemdziesiąt i osiem; to mi się nazywa
Racyonalna przezorność. Teraz, na jesieni,
Gdy wiatr chłodny zagląda aż do dna kieszeni,
Dobrze jest palić serce, sącząc po kropelce,
I patrząc w oczy słodkie a mówiące wielce,
Kallipygo — kelnerek, człowiek się rezonem
Nadziewa, tak że gotów puścić się balonem
Wraz z Szymańskim, którego ani wszyscy święci
Nie ochronią od tego, że kiedy kark skręci...

. . . .

Z tem wszystkiem świat jest piękny! Ggy słoń-
ce z za chmury
Wyjrzawszy, rzci snopy złota i purpury,
I spadłe deszczu krople, drżące na zieleni,
W miliony brylantowych iskierek zamieni,
Pierś wdzięcznością oddycha, pochyla się czoło

I rzewnie jest i słodko, tęskno i wesoło,
I tylko żal rwie serce, że wśród tej jasności,
Tak mało miłosierdzia, łaski i miłości!

. . . .

Oprócz, ma się rozumieć na naszej Wystawie.
Jako dowód, w tym względzie namacalny stawię:
Dyplomy honorowe, medale i listy,
Jakie lada dzień spadną w sposób uroczysty,
Jakie spadły po części na wystawców grono,
Cztery czy pięć tysięcy jak mi obliczono.
Zdaje się dość; ja jednak mówię, że to mało,
Zobaczymy — ogrodników dwóch ile dostało?
Każdy z nich po dwadzieścia kilka wziął medali
Klimowicz i Woliński. Dobrze; lecz co dalej?
Zabraknie; bo jeżeli róże, tulipany...
Każdy kwiatek osobno został premiowany,
To pani Krzysztofowicz za swoje kompoty
Winna dostać nie jeden medal, choćby złoty,
Lecz tyle, co słoików marchewki, pietruszki...
Za len, płótno, za jabłka w konserwach, za
gruszki...
To samo pan Dzikowski, za każdą ozdobną
Dubeltówkę, rewolwer, pistolet — osobno.
Mam nadzieję, że jest w tem niejaka logika.

Ale że ta najczęściej z rąk nam się wymyka —
Zostawmy ją w pokoju; by za własne myto,
Jeszcze nas nie wyśmiano albo nie obito.
Choć jeszcze raz powtarzam — jako nie ma sensu,
Dać sto nagród — stu rzeczom z jednego kredensu.

. . . .

Swoją drogą nie chciałbym pod żadnym pozorem
Być wystawowym sędzią, czy też tam jurorem.
Niedogodzisz nikomu; jeden cię pochwali,
A stu powie „bodajby go djabli porwali“.
I staniesz się ofiarą.
Ważąc obyczaje,
Wszyscyśmy ofiarami dzisiaj; słowo daję,
Chcesz jeść — musisz pracować — pełen-eś ofiary;
Przejadłeś się — to samo. Masz wekselek stary,
Każą płacić — ofiara; wyleciałeś z biura
Za niedbalstwo — ofiarna całkiem awantura;
Przez dwa czy trzy dni z rzędu wracasz ociężały
Z małej bibki nad ranem — jesteś przez dzień cały
Ofiarą miłej żony... Tak jest — w prochu leżę,

Patrząc jak społeczeństwo stoi na ofierze,
A że i ja nie jestem z ambicyi odarty,
Więc kończę i do klubu idę zagrać w karty,
Zgram się, będę ofiarą; wygram — ofiarami
Uczynię partenerów...
Dobranoc, Bóg z Wami.

25. Września 1894 r.

XII.

Tak to bywa, gdy czasu ma kto nazbyt wiele.
Na rozrywkę, czy pracę, czy na inne cele,
Że ani się opatrzy, jak przemknie godzina,
A on zamiast rzecz kończyć ledwie rozpoczyna.
Myślałem, że półroczny sezon Wystawowy
Starczy mi by opisać go od stóp do głowy.
Tymczasem w sercu mojem, nie jedno wrażenie
Siedzi jeszcze nietknięte; za co uniżenie
Przepraszając, pospiezzam gawęd moich luki
Powypełniać... Dziś byłem w pawilonie sztuki.
Tu nadmieniam, że jestem wielkim konesorem
Malarstwa; za co ręczę nie żadnym honorem,
Ale konkretnym faktem, co sto razy wolę.
Owóż, kiedym był młody, to jest gdym był w szkole,
Miałem talent rysować najkoszlawsze kreski.
Za co mój nauczyciel, nieboszczyk — *Liszewski*,

Boże, bądź tam miłościw jego grzesznej duszy,
Sześć razy na godzinę targał mnie za uszy.
Wprawdzie nic nie wytargał — lecz taka
praktyka,
Sądzę że mi nadaje patent na krytyka,
Wszech nak malowanych. Więc uprzedzam
z góry,
Że nie pochwalam nagród przyznanych przez
jury
W dziale sztuki; Dyplomy i medale złote
Przyznałbym za dwa płótna: „Występek“ i
„Cnotę“.
Których siła, koloryt, wdzięk, światła i cienie,
Roztaczają dokoła zachwyt i zdumienie.
Komentuję — inaczej nikt mi nie uwierzy.
„Występek“ goluteńki na siedzeniu leży,
Nogi zadarłszy w górę. Ciało ma kobiety,
Przeźroczyste, coś na kształt sinej galarety
Z lina albo węgorza. Czy zaś niebios siła
Za karę go w pozycyi takiej położyła,
Czy też sam się ułożył w taką pozę srogą
Aby łatwiej mu było niebo kopnąć nogą —
Niewiadomo; — w tem właśnie leży sztuki
waga:
By każdy sobie to miał, czego się domaga.

Z „Cnotą“ znowu rzecz inna: okrągłego pysia,
Na główce złoto-żółta piękna czapka lisia,
Jaką księżyc w noc mglistą bywa ustrojony:
A takie domorosłe ma linje i tony,
Nos, oczy, usta, ręce, nogi i spodniczki,
Jak gdyby wprost wylazła z przydrożnej
kapliczki,
Która stoi pod lasem Zimnowoda-Rudno.
Ignoracya czy zawiść? — Aż uwierzyć trudno,
Że sędziowie nie dali tym płótnom nagrody,
Widocznie się trzymali starodawnej mody,
Bo również niedostała nic i żółta trawa,
Niebieski śnieg i panna czerwona a łzawa,
I dach czekoladowy i błękitne dzieci...
W taki to sposób niechęć i gorycz się nieci.
Ja sam jestem zgorszony — że nic nie do-
stałem,
Ja, co z takiem zaparciem i z takim zapałem
Oddałem się Wystawie, ja co na piechotę
W upały, zimna, wichry, w pogodę i słotę,
We wszelkie mankamenta na ziemi i niebie
Wystawiałem codziennie sam — samego siebie!
Ale mniejsza już oto — co innego powiem,
Coś, co ma pewną styczność ze społecznem
zdrowiem

Jakkolwiek się zastrzegam by moje obrazy
Nie wzbudziły w kimkolwiek gniewu lub urazy.
Albowiem tylko pogląd przypadkowy robię
I wszystko co tu piszę — piszę ot, tak sobie,
Przeglądając spis nagród przeróżnej jakości.
Są tam imiona mężów, którzy dla ludzkości,
Dają mienie i pracę; — na wyroków szali
Za ofiarną działalność co oni dostali?
A no medal dostali złoty czy brązowy.
A świnie i indyki — dyplom honorowy.
Może to zresztą słusznie; gdyby w danej chwili
Nie stało wielkich mężów, jakoś byśmy żyli.
Ale gdyby zabrakło tak szynki, broń Boże,
Grubo byśmy płakali i byłoby gorzej,
Choć i tak jest nie tęgo — albowiem deszcz
pada,
Od sześciu już tygodni. Jest to taka zdrada
Losu względem Wystawy, że gdyby nie pewność
Że go nic nie obchodzą nasza złość czy rzewność,
Zaskarżyłbym go zaraz wprost do „Trzeciej
Sekcji"
O obrazę honoru. Cóż? — Szkoda subjekcji!
Bo los hultaj w przystępie kaprysu czy szału
Drwi sobie już nie tylko z prawa, z Trybunału,
Z wyroków z egzekucyi — ale nawet ze mnie.

Co przecie już w najwyższym stopniu jest
nikczemnie.
Niech-że więc sobie leje kiedy mu tak miło,
I niech go piorun trzaśnie razem z jego siłą.
Ulawszy nieco żółci lżej sercu się dzieje;
Bledną chmury zwątpienia, świtają nadzieje,
I człowiek, wielki człowiek, po chwilowej
zwadzie —
Z losem — jak pies obity u nóg mu się kładzie.

. . . .

Co by tu pogawędzić jeszcze o wystawie?
Oglądałem indyki, koguty i pawie,
Bardzo śliczne — jeździłem koleją naftową,
Bardzo dowcipnie, gładko, przystojnie i zdrowo,
Kupiłem latającą na gumie piłeczkę,
Zważyłem się — sto funtów ważę i troszeczkę,
Niby jaka panienka co w eterach tonie,
Zaglądnąłem do Zosi w pewnym pawilonie,
Lecz że tam właśnie byli jacyś dygnitarze,
Ustąpiłem im placu — jako zwyczaj każe.
Nabyłem los na który wygram kamienicę...
Co mnie tak ucieszyło, żem zjadł polędwicę
Całą u Zogelmana, wypił multum piwa,
I czekam... bo się zdarza, czyli bo to bywa,

Że po takiej libacyi często brzuszek boli.
Co wszystko zostawiając losu dobrej woli,
Spokojny na sumieniu kładę się do łóżka.
Przemiłych czytelników uniżony służka.

P. S.

A ktoby z czytelników był może ciekawy
Gdzie się podział pan *Michał*, który plac
Wystawy
Deptał ze mną przez całe pierwsze dwa mie-
siące —
Temu powiem, że prace ważne a gorące
Powołały go na wieś; że po razy kilka
Wracał do nas gdy wolna trafiła się chwilka;
Że przysłał na Wystawę bydląt co nie miara,
Że *Jury* zachwyciła jego klacz prastara,
Za którą medal złoty wziął; a dwa brązowe
Za czerwony pasternak i zieloną krowę.
A że jeszcze przeczytał, jako dodatkowo
Reklamując, nagrodę można wziąć jakową, —
Reklamował; i zagrał takiego atuta,
Że dyplom honorowy dostał za koguta.

XIII.

„I skończyły się piękne dni Aranżuezu“.
Zamknięto nam Wystawę! Mój ty słodki Jezu,
Co my teraz będziemy porabiali biedni?
Gdzie będziemy nosili nasz czas poobiedni?
Kto będzie poił serca nam harmonią słodką?
Oczy bawił fontanną? Uszy sycił plotką?
Skończyło się! I tylko zostało wspomnienie,
I cokolwieczek łzawo-pustawe kieszenie.

. . . .

Lecz bądźmy sprawiedliwi Co lato, tysiące
Rzucamy na kąpiele zimne i gorące,
Choć w trzech czwartych jesteśmy zdrowi —
jako byki.
Przypuśćmy jednak, że te wodniste praktyki
Potęgują poniekąd hart naszego ciała.
A Wystawa czy hartu ducha nam nie dała?

Sądzę, że to coś warte. Więc ci, co nie byli
Na Wystawie od pierwszej do ostatniej chwili,
Niech się wstydzą, niech szarpią ich żal i
wyrzuty,
I niech na głowy sypią popiół — w znak pokuty,

. . . .

Kilka słów o humorze; a to z tej przyczyny,
Że humor jest dla wielu synonymem drwiny.
Wprawdzie te dwie kumoszki często idą razem;
Lecz żeby humor — drwinek jedynie wyrazem
Musiał być — protestuję. Niekoniecznie szlochać
Trzeba, ażeby serce mieć i umieć kochać.
Ztąd, choć humorystycznie-m pisał o Wystawie,
Niemniej przeto jej pamięć zacną błogosławię.
I rad jestem, że mimo wrogie sofizmata,
Przyniosła nam uznanie i szacunek świata.

. . . .

Błądząc w chwili zamknięcia po placu Wystawy,
Dziwne uczuć kobiecych widziałem objawy.
Jedna, trzeźwa, praktyczna, bez czczej egzal-
tacyi,
Takiej się srogiej z żalu dała desperacyi,
Że gdyby nie rozsądku i perswazyi siła,
Klęcząc by pawilony całowała była.

Nie mogąc — pocałunki słała im zdalcka.
A rumieniec i łzami nabrzmiała powieka
Świadczyły, że uczucia jej były szczeremi.
Dzielne serce, szlachetne dziecko polskiej ziemi.

. . . .

I rzeczywiście, patrząc, jak w gruzy się wali
To, cośmy całem sercem naszem ukochali,
Co było naszą dumą, pociechą i chlubą,
Trzeba, by się nie ugiąć przed tak ciężką próbą,
Wierzyć silnie i kochać i żywić nadzieję,
Że i nam lepsza dola wkrótce się zaśmieje.

. . . .

Lecz dajmy pokój żalom, a grzecznie i śmiało,
Tak jak na humorystę prawego przystało,
Zakończmy pogadanki nasze o Wystawie.
Więc przedewszystkiem proszę, aby mi łaskawie
Przebaczyć Ci raczyli, których mimowoli
Czemkolwiek dotknąć mogłem. Niech to ich nie boli,
Niech wiedzą, że bez żartu światek byłby trupi,
A ktoby się bez plamy czuł być — byłby głupi.
Dalej, niech mi wybaczą zarówno i tacy,
O których nie wspomniałem zasługach i pracy.

Pragnąłbym to naprawić. Cóż? — kiedy w tym
celu,
Chybaby tomy pisać — tak onych jest wielu.
Wreszcie chciałbym wyrazić moją cześć głęboką
Tym, co sztandar Wystawy nosili wysoko.
Lecz na to mieć potrzeba pióro Homerowe.
Wobec czego, pokornie schylam moją głowę,
I przyłączam się tylko do tej mnogiej rzeszy,
Która wdzięczna, z wyrazem hołdu dla nich
spieszy.
Dwa tutaj przed innemi jaśnieją imiona,
Niechże potężna *Klio*, mistrzyni natchniona,
Na kartach pełnych blasku krainy Lechickiej
Żłobi: Adam Sapieha i Zdzisław
Marchwicki.

. . . .

Jeszcze jedną uwagę tu maleńką zrobię,
G'woli prawdzie; bo nie mógłbym przebaczyć
sobie,
Gdybym słówka nie wspomniał o człowieku,
który,
Wystawowe grymasy, humory i chmury,
W przeróżnej ich postaci, jakości i mocy,
Miał na głowie dwa lata od rana do nocy.

Mówię tutaj o ciężkim trudzie Sekretarza,
A dość lekko ważonym. A no to się zdarza.
Nie jeden z nas Wystawie służył całą siłą,
A na paradach miejsca dla niego nie było.
Bo, jak niemiec powiada, do wszystkiego trzeba
Mieć szczęście i być pięknym — dziej się wola nieba.

. . . .

Ostatniej pogadanki tej, wrażenia moje
Kreślę na Stryjskiem Wzgórzu... i w zadumie stoję;
A patrząc jak się wszystko zwolna do snu ściele,
Tam gdzie przed chwilą życie wrzało i wesele,
Serdeczne słowo wieszcza do duszy mi płynie:
„I głucho, smutno, tęskno, jak gdy szczęście minie.“

25. Października 1894 r.

KONIEC.